

POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XIX

Warszawa, dnia 3 Grudnia 1927 roku

Nr. 49

ANDRZEJ STRUG

12) UCZTA ZWYCIĘSTWA

— Pan kapitan dołączy, że nam w Polsce też dawno zrobione jest wiadomo, jak dwa armji korpusu z prawego Flügel General von Kluck wyjęte byli byc na kolosalne nord-west Offensivenbewegung Samsnow Rennekampf... Pan pułkownik ma rację, to jest ich famös Marnaschlacht.

— A co to był Marnaschlacht?

— Eine magistrale Decision des ganzen weltkrieges.

— Proszę panów ależ pozwolić, bo wszak to jeszcze nie dowiedzione jest. Sam alem był nad Marną....

— Dobrze, byłeś pan, nie byłeś, co się pan tu stawiasz przed wyższemi szarżami? Dużo pan widziałeś nad swoją Marną! Tyle co i pierwszy lepszy sanitar kompanijny albo kucharz. Panu każą tłumaczem być, to pan tłumacz i już! Słowo w słowo!

— Za pozwoleniem... przepraszam pana pułkownika — to jest ależ obrazą na moim honorze oficerskim...

— A kapitan nie poniewieraj świętej pamięci wielkiego ruskiego gieroja, ot nie będzie i obrazy honoru.

— Jaż nie poniewierałem, to francuz...

— A ty jemu powinien był plunąć w mordę, nie taką podłość mnie przypodnosić i jeszcze na prawach gościa mojego pozostając....

Pijany Puzo szedł widocznie na skandal i czepiał się francuza. Kapitan Postel de Gonieux mierzył go grobowem wejrzeniem.

— Jak on na mnie patrzy... Ot roża — Całą wesółość człowieku odejmie. I po co to się tłucze przy pułku....

* * *

Kapitan popijał koniak ze szklanki, słuchał piąte przez dziesiąte opowiadania swego sąsiada o ostatnich godzinach armji niemieckiej i zapadał coraz głębiej i głębiej w swoją czarną ponurość. Tak bywało z nim zawsze, gdy przebrał miarę. Tak bywało, ilekroć w beznaziejnej męce i nudzie wojny nadchodziły momenty domagające się natężenia wszystkich sił zamierającej woli — patrol nocny przed drutami, ogień huraganowy, zwiastujący atak, nadśłuchiwanie podziemnej pracy nieprzyjacielskich minierów, walka wręcz w ciasnocie głębokich chodników....

Rodziła się tępa, martwa nieczułość na śmierć i na wszystko inne, bezwład myśli i zatopienie się w jednej chwili, która była nicością, oderwaną od miejsca i czasu i od wszystkiego, co własne. Przystawał istnieć,

przystawał wzdrygać się ze strachu. Strach krył się przed nim i znikał, by go oszukać i runąć nań w najgorszej chwili właśnie wówczas, gdy walka o własne życie, gdy obowiązek i honor oficera domagały się od niego najwyższej miary odwagi i opanowania. To, na co patrzył, przesuwało się przed nim, jak sen. Sen zabierał go w siebie i długo niósł daleko, poprzez Francję, by go złożyć łagodnie w cichym bezpiecznym domku w Limoges, gdzie mur opleciony bluszczem, stare klony, zielone szczelne żaluzje broniły go od okropnej rzeczywistości, od napaści świata. Stawał się dzieckiem, żeby oddalić się od dręczącej prawdy czasu i usypiać w objęciach matczynych.

Budziło go potrącenie, szept komendy, sygnał świetlny, wskazówki zegarka, dochodzące do swojej minuty, hełm niemiecki, wyrastający nad przedpiersiem okopu.. Budził się, jak maszyna, wprawiona w chód czyjąś ręką, martwa i sprawna, niezawodna. Nie wiedział o tem, co myślał i co czynił, wszystko czyniło się samo.

Ale w takich momentach własną ręką dobijał rannych i jeńców, padających przed nim na kolana, cisnął paczkami granatów do opancerzonych betonowych schronów, gdzie w pomroce i tłoku wył o litość okropny strach ludzki. Bez czucia, bez wiedzy, strzelał we łby własnym żołnierzom, gdy dostrzegł wahanie, gdy człek nieszczęsny, przypadłszy do ziemi, do kupy gruzów, do rowu — nie śmiał i nie mógł oderwać się od osłony i ruszyć naprzód.

Od walk nad Somme'a, gdy sterał resztę sił, zaczął pić, żeby wytrzymać, żeby dociągnąć do końca. Pił w zwycięskim pościgu, pił po zawieszeniu broni, pił w armji okupacyjnej Ruhry, pił w misji wojskowej w Polsce. Pił na ponuro, samotnie, pił, żeby nie myśleć, byleby się nie ocknąć z zamroczenia, które go broniło od nielitościwej, jaskrawej jasności, od prawdy, od przeraźliwej pustki, od strachu przed życiem.

Nie upijał się, był spokojny, milczący, cały zawarty w sobie, tylko w oczach czało się ponure szaleństwo, gotowe na wszystko.

Nudził się na tej polskiej biesiadzie, tak samo, jak się nudził na całej polskiej wojnie, spokojnej i maleńkiej, nie dającej mu żadnych wrażeń. Po co tu siedział? Po co zaciągnął się do misji polskiej? Z nudów w armji okupacyjnej. Dlaczego po zawieszeniu broni nie wystąpił z wojska i nie osiadł w rodzinnym domku w Limoges, gdzieby miał żonę i dzieci, i dostatek, i spokój?

Ze strachu przed ocknięciem, przed sobą samym. Nie wiedział, co ze sobą począć w wolnym życiu, wnie-

omylnej wizji stawał przed nim jego kres i koniec, przed którym się jeszcze wzdrygał. Życie w wojsku, którego zresztą niecierpiał, trzymało go swą ciężką masą, swoją dyscypliną i żelaznym logicznym absurdem swej istoty i całej struktury. Przytem trwał bez myśli i woli z dnia na dzień, byle jak.

* * *

W izbach stawało się coraz to przestrzeniej. Młodzież chłodziła się na dworze, żadna ruchu i wyładowania energii. Tańczono, zmagano się w walkach zapaśniczych, goniono się zapamiętale po wsi, wrzeszcząc. Wreszcie któryś krzyknął: „siodłać!“. W zamęcie i gwałcie, tarmosząc pijanych ordynansów, wyciągano konie ze stajen, z baraków i siodłano na alarm; konie otrząsały się na mrozie, pochrapywały z rezygnacją, przywykłe do wszystkiego na wojnie. Pierwsi, którzy dorwali się do koni, ruszyli z miejsca w cwał i popędzili kędyś na łeb na szyję w ciemną noc. Za nimi inni, nie pytając, dokąd. Po niedługiej chwili powrócił luzem jeden koń, drugi, następny i bijąc się między sobą a kwicząc, pchały się do stajni. Rozbitki nadciągały piechotą lub zabierane na koń przez kolegów, którzy trzymali się jeszcze w siodłach. Nagwałt rozpalano ogniska, nagwałt rozstawiano barjerę. Wielki konkurs hipiczny! Cóż mogło godniej uwieńczyć kawaleryjską biesiadę?

Bolek, owiany mrozem, wpadł w najrozkoszniejszy szal. Latał po majdanie, wznosząc tryumfalne okrzyki:

— Niech żyje pułkownik! Niech żyje wojna! Niech żyje wszystko! Koledzy! — do wsiadania! Ruszamy dyrekcją na Mińsk — ja prowadzę! Pułk baczność! Pod moją komendą na Moskwę — maarsz...

Całował się ze swoim ordynansem, który mu podprowadził konia. Ze wsiadaniem było gorzej. Obsuwał się ze strzemięcia, przelatywał na drugą stronę, wreszcie przy pomocy ordynansa znalazł się w siodle. Ale ziemia pod koniem zaczęła się wzdymać i toczyć... Gwiazdy na niebie poruszyły się ze swoich miejsc, z Drogi Mlecznej zaczęło pruszyć, jak srebrnym śniegiem. Wielka Niedźwiedzica zakreślała szalone koła i zygzaki... Niezmierny ciężar czapki wciąż go przechylał na prawo, na lewo, w tył i naprzód. Zrzucił precz żelazną czapkę i poleciał w ślad za nią. Ordynans pobiegł za koniem, a podporucznik, rozpostarty rozkosznie na ziemi, zatopił się w przepaści nieba.

Rozszalałe gwiazdozbiory pod jego okiem wracały na swoje odwieczne miejsca i zaczęły posłusznie ukochaną od dziecięcych lat symfonię. Spływały z otchłani niebios promienne wróżby o chwale walk, o szczęściu doskonałym, o prawdzie czynów męskiego żywota... Przepiękne serdeczne urojenia poezji mnożyły się w wielorakich kształtach — postaciach, w losach ludzi nieznanymi, w ich westchnieniach, w przenikliwym, do dna duszy sięgającym szeptaniu... Potężny głos wezwania, dźwięk trąb i grzmot dział, tętent tysięcy kopyt... Huczały akordy, jak fale morską przypiływu i niosły wieść za wieścią o Polsce, o wielkich dziejach. Oznajmiało się ich wspaniałe jutro, długie lata spokoju, szczęścia...

— A ja? Co będzie ze mną?

Spytał i zasnął.

Ujrzał matkę, biegnącą aleją lipową, splakaną, zanoszącą się w łkaniach; wiatr rwał na niej włosy i suknię, wiatr porywał i rozdzierał jej jęki, roznosił głos rozpaczony po pustych polach. Biegła, brodząc w suchych liściach szeleszczących złowrogo, śpieszyła się, padała, podnosiła się i padała znowu... Aż padła

i już nie wstała w tem miejscu, gdzie w alei stoi pochylony czerniały krzyż. Co się stało, matko? Matko... Miota się nieszczęsna, wiję się po ziemi. Cóż to jest?!.....

Ocknął się, wył nad nim mroźny wiatr w nagich gałęziach, szeleściły przenikliwie suche trzciny od jeziora. Przejął go, przeszył do szpiku kości zimny dreszcz. Zerwał się, dygocąc na wicherze. Ogarnął go, jak tchnienie śmierci, nagły strach nocy. Obejrzał się i uląkł się swej samotności. Gdzieś daleko jaśniała luna ognisk, skądś zdaleka dochodziła wesoła wrzawa. Porwał się i uciekał od złego miejsca, popędził ku jasności, do dobrych towarzyszy.

Właśnie dzwiganą do chałupy jednego z piechurów, któremu też zachciało się brać barjerę. Zwichnął nogę czy złamał i ryczał. Rozhukani oficerowie najężdżali na siebie końmi. Startowali po dwóch i po trzech naraz. Adjutant Braun rozpędzał się, trzymając przed sobą weterynarza, wrzeszczącego za strachu. Miał go odstawić do domu o kilka chałup dalej, a zdradziecko nakierował na przeszkodę. Bódl konia ostrogami i już, już dochodził, gdy tuż przed barjerą koń się zaparł i obaj z weterynarzem polecili w przestrzeń. Galerja pokładała się ze śmiechu, ognie buchały pod niebo. Bolek latał i wołał, szukając swego „Miłka“. Nareszcie!

Tym razem ordynans nie potrzebował go podsadzać. Stanął na linii startu i czekał, aż zładują przeszkodę, którą przed chwilą rozwalił, rozwalając sobie przytem łeb, jego dzisiejszy pobratymiec, Janusz, gość z Małych Pasiek, konny strzelec. Ale w drzwiach chałupy już stał Puzo i huczał srogim gniewem. Zadużo było poszwankowanych, a co najgorsze, fatalnie spleczyły się dwa konie. Nadaremnie protestowali oficerowie.

— Miałyby się w pułku porządne konie bojowe, a tak co? Ot, doniec garbonosy, pieprz pod ogonem a nogi z żelaza.... Taki na wszystko pójdzie, noc nie noc.. Taki jeźdźca nie wyda, nie podprowadzi... Co tu gadać — nie było i niema na świecie, jak stepowy ruski koń!

— Więc cóż my mamy teraz robić?!

— A pij jeden z drugim, póki jest co — wreszcie można uderzyć i w karciszki, byle bez hazardu, po małejkoj...

— Dobra nasza!

— Ej tam, panowie! Złazić mi z koni! Konie do stajni — już!

Bolek odsunął się w cień poza obręb ognisk i posmutniał. Nie dali mu się popisać.... Skończona cała zabawa, ognie się dopalają, pusto... Wszyscy wpełchali się do chałupy rżnąć w te obrzydliwe karty. Cóż robić? Przejadę się trochę.

Ruszył niezdecydowany, a koń natychmiast zawrócił ku Taraszkiewiczom, w stronę domu i poszedł w kłus. Zatrzymał go i dumał nad czemś. W oczadziałej głowie przewalały się strzępki najdziwniejszych obrazów, niczem we śnie. Jakież rzeczy straszne, jakież rzeczy miłe...

Cóż za radość będzie w domu, gdy się dowiedzą, że dostał Virtuti! Matka promienieje i aż płacze z wielkiej dumy — płacze i dlatego, że ojciec nie doczekał pociechy z syna — a Macia i Ceśka skaczą pod sufit. Zaraz się rozniesie po całym sąsiedztwie...

Coś go gnębi, coś mu grozi... Zmroczyło się. Czarna chmura zjadła Wielką Niedźwiedzicę, sypią się kłujące prószynki śniegu. Przejęło go nawskroś przenikliwe zimno. Wypadł na dwór przepocony, tak jak stał... Trza uciekać pod dach....

(D. c. n.).

WSPÓLNIK

George był bliski płaczu. Zdaje mi się, że był to człowiek, który czasami płakał. Ciągnęło się to całe tygodnie. Nie mógł zerwać z Cloete'm. Nie miał mu z czego oddać jego kilkuset funtów; zresztą przyzwyczał się do jego obecności. Słaby charakter — ten George. Cloete w dodatku był wspaniałomyślny. „Nie turbuj się o moją sumkę. Naturalnie, przepadnie, jeżeli będziemy zmuszeni zwinąć nasze przedsiębiorstwo, ale mniejsza z tem...” — mówił. Młodziutka żona George'a utrudniała też sytuację. Gdy Cloete, ten łotr, był do nich zaproszony na obiad, ubierał się zawsze we frak, wiedząc, że ona to lubi. „Pan Cloete, wspólnik mojego męża, to bardzo mądry człowiek, taki światowy, taki interesujący”. Gdy był u nich na obiedzie, a przez chwilę pozostali sam na sam, zwracała się do niego: „Takbym chciała, panie Cloete, aby George przedsięwziął coś z myślą o naszej przyszłości. Nasza sytuacja jest tak skromna”. A Cloete uśmiechał się, ale się nie dziwił, bo sam te myśli podsunął jej pustej głowce. „Mężowi pani brakuje przedsiębiorczości, odwagi; pani powinna go zachęcać”. Było to głupie i niezrównoważone stworzenie. Skłoniła George'a do wynajęcia willi w Norwood. Żyli na większej stopie, niż ludzie znacznie od nich bogatsi. Widziałem ją raz: była w jedwabnej sukni; na nogach śliczne trzewiki, pióra i perfumy, twarz różowa. Wydało mi się, że bardziej na miejscu byłaby w Alhambrze, niż w ucziwym domu. Ale są kobiety, które djabło krótko umieją trzymać mężczyzn.

— Tak, niektóre to umieją — przytaknąłem, — nawet swych mężów.

— Żona moja — zwrócił się do mnie niespodzianie uroczystym, głuchym głosem, — mogła wszystko ze mną zrobić. Ale spostrzegłem to dopiero, gdy jej już nie było; lecz była to kobieta rozumna, a to nicdobrego zdatne było tylko do włóczenia się po ulicach, oto wszystko, co mogę o niej powiedzieć. Pan ją musi opisać z głowy. Pewnie pan zna ten rodzaj.

— Niech się pan już spuści na mnie.

— Hm! — mruknął powątpiewająco i ciągnął dalej pogardliwym tonem: — Mniej więcej w miesiąc potem *Sagamore* powrócił z podróży. Z początku nastrój był wesoły. „Jak się masz, mój chłopcze”, przywitał się Harry. „Jak się masz, stary”, odparł George. Lecz powoli kapitan Harry spostrzegał, że jego mądry braciszek nie wygląda zbyt dobrze i codzień traci na humorze. Propozycja Cloete'a nie mogła mu wyjść z głowy. Wbił mu ćwieka. „Wszystko w porządku”. Lecz kapitan Harry nie przestał się niepokoić. „A jakże ci się powodzi w interesach?” „Doskonale. Mnóstwo nowych i doskonałych”. Naturalnie, kapitan Harry uwierzył w to z łatwością i zaczął żartować wesoło, że George tarza się na złocie. George czuł, jak oblewa się potem i złość go schwyciła na brata. „Co za głupiec”, pomyślał. „Tarzać się na złocie!” A po chwili błysnęła mu myśl: „A dlaczego by nie?” Pomyśl Cloete'a kielkował w jego głowie.

Następnego dnia nie był już tak niezłomny, i rzekł do Cloete'a: „Może byłoby dobrze sprzedać statek? Czy nie mógłbyś porozmawiać o tem z moim bratem?” Cloete, po raz dwudziesty może, za-

czął mu tłumaczyć, dlaczego sprzedaż statku w żadnym razie nic by nie pomogła. *Sagamore* musi być porąbany tomahawkim, jak się wyrażał, może dla oszczędzenia wrażliwości George'a. Lecz za każdym razem dreszcz wstrząsał George'm na te słowa. „Mam pod ręką kogoś odpowiedniego, któryby tę sprawę załatwił za pięćset funtów i podziękowałby jeszcze za to”, dodawał Cloete. George zamykał uszy na takie gadanie, lecz jednocześnie myślał: „Co za błaga! Takiego człowieka niema na świecie, a gdyby nawet był, czy możnaby mu zawierzyć?”

Cloete wciąż żartował na ten temat. O czemkolwiek mówił, zawsze robił wrażenie, że stroi sobie żarty. „Teraz”, mówił do George'a, „wiem, że jesteś moralnym człowiekiem, gdyż moralność jest naogół tchórzliwa, a nigdzie na świecie w czasie mych podróży nie spotkałem równie tchórzliwego człowieka. Jakto? boisz się mówić o tem z twym bratem? Boisz się otworzyć usta, gdy chodzi tu o zdobycie majątku dla nas wszystkich?” Wówczas George obruszył się; nie, nie boi się; pomówi o tem z bratem. Uderzył pięścią w biurko. Cloete poklepał go po plecach, mówiąc: „Wkrótce znów będziemy bogaci”.

Lecz gdy George chciał o tem wspomnieć kapitanowi, dusza uciekała mu w pięty. Kapitan Harry roześmiał się tylko na jego propozycję pozostania na lądzie. Nie potrzebuje odpoczynku; Jane natomiast podczas trwania tej podróży pozostanie w Anglii, aby odwiedzić swych krewnych. Jane, była to żona kapitana, miła kobietka, o okrągłej twarzy. George dał tym razem za wygraną; lecz Cloete nie dał mu spokoju. Więc znów spróbował atakować kapitana; kapitan zmarszczył brwi. Zmarszczył je ze zdziwienia. Nic nie mógł zrozumieć. Nie wyobrażał sobie, aby mógł żyć zdala od *Sagamore'a*.

— Ach! teraz rozumiem, — zawołałem.

— Nic pan nie rozumie — mruknął, przebiwszy mnie pogardliwym spojrzeniem swych ciemnych oczu.

Wyszeptałem wówczas. — Przepraszam pana.

— No, już dobrze. — Kapitan Harry nasrożył się, a George skulił się w sobie. „Przejrzał mnie”, pomyślał.

Naturalnie było to niemożliwe, ale George bał się wówczas własnego cienia. Chciał się jednak pozbyć Cloete'a. Dał do zrozumienia wspólnikowi, że brat jego jest naogół zdecydowany pozostać na lądzie i tak dalej. Cloete czekał, ale obgryzał sobie palce z niecierpliwości. Znalazł rzeczywiście osobnika, gotowego na to łotrństwo. Trudno uwierzyć: znalazł go w tym właśnie pensjonacie, w którym sam mieszkał, gdzieś w okolicach Tottenham Court Road. Zauważył na dole ciemne indywiduum, coś w rodzaju lokatora, a zarazem pana domu; osobnik ten przemykał się zazwyczaj najciemniejszymi częściami korytarza. Oczy miał czarne, twarz bladą. Właścicielka pensjonatu, wdowa (przynajmniej tak o sobie mówiła) wciąż się nim wysługiwała: pan Stafford tu, pan Stafford tam. Pewnego wieczoru Cloete zabrał go ze sobą na kieliszek. Cloete spędzał wieczory w barze. Nie był jednak pijakiem, chodził do baru od tak, dla towarzystwa; taki był już jego zwyczaj. Amerykańska moda!

Cloete kilka już razy zabierał ze sobą do baru tego osobnika; choć nie była to bardzo zabawna kompanja. Mówił bardzo mało. Siedział cicho i pił, co mu dali, z oczami nawpół przymkniętymi; jeśli co mówił, to nieśmiało. „Zdarzyły mi się nieszczęścia”, opowiadał. W rzeczywistości wypędzono go z przedsiębiorstwa za złe sprawowanie. Nie popsuło mu to świadectwa, dziwnie jednak łatwo spadał coraz niżej. Myślę, że było mu z tem dobrze. Wszystko raczej, niż pracować. Utrzymywała go właścicielka pensjonatu.

— Trudno w to uwierzyć — ośmieliłem się przerwać. — Więc pan powiada, że miał dyplom kapitana?

— Tak. Znałem takich, którzy, choć mieli dyplomy — byli konduktorami omnibusów — mruknął pogardliwie. — Tak. Trzymając się rzemienia na górnej platformie omnibusu, wołali: „Dziesięć pensów za cały przejazd”. Skutki pijaństwa! Lecz Stafford był innego rodzaju. W piekle pełno takich osobników. Gdy Cloete z niego żartował, złe spojrzenie błyskało w jego nawpół przymkniętych oczach. Naogół Cloete był z nim uprzejmy. Cloete zresztą byłby uprzejmy nawet dla parszywego psa. Od czasu do czasu zapraszał Stafford’a na kieliszek, lub dawał mu pół korony, gdyż wdowa skąpiła Staffordowi na osobiste wydatki. Codziennie prawie odbywały się sceny między nimi.

Osobnik ten był niegdyś marynarzem. Okoliczność ta podsunęła Cloete’owi myśl pozbycia się *Sagamore’u*. Obserwował go przez pewien czas i doszedł do przekonania, że siedzi w nim djabeł, który da się skusić. Rzekł mu więc pewnego wieczora: „Myślę, że pan jeszcze kiedyś powróci na morze?” Stafford odparł, nie podnosząc nawet oczu, że nie warto się fatygować za tak marną zapłatą. „Ale co by pan powiedział, gdyby zaproponowano panu pensję kapitana i ponadto paręset funtów, o ileby pan powrócił bez statku. Zdarzają się przecież wypadki...” podsuwał mu Cloete. „Ach! bezwątpienia!” — odpowiedział na to Stafford, popijając powoli, jakgdyby go cała ta sprawa zupełnie nie interesowała.

Cloete nalegał; wówczas tamten zauważył z objętą bezczelnością: „Nie widzę w tym interesie przyszłości dla siebie”. „No, tak! Nie zaprzeczam, to nie jest karjera z przyszłością. Nie, to jest jednorazowa transakcja”. „Niech pan powie, na ile pan ocenia swą przyszłość?”, spytał go Cloete. Ale ten udawał, że drzemie i nic nie słyszy. Nicpoń pewnie zbyt był leniwy, aby troszczyć się o cokolwiek. Małe oszukaństwa przy kartach, naciąganie kobiet pochlebstwem lub groźbami były bardziej w jego stylu. Cloete pocichu przeklinał go najokropniejszymi wyrazami... Wszystko to działo się w barze „Pod Kopytem” na Tottenham Court Road. Ostatecznie zgoda zapadła przy drugim kieliszku gorącej szkockiej wódki. Zgodzili się na pięćset funtów za zatonienie *Sagamore’a*. Późem Cloete czekał spokojnie, czy się George’owi uda przekonać kapitana.

Uplłynął tydzień czy dwa. Stafford włóczył się, jak gdyby nigdy nic, w okolicach domu handlowego. Cloete zaczął wątpić, czy wogóle tę propozycję wziął na serjo. Ale pewnego razu z oczami wdół spuszczone zatrzymał Cloete’a przy drzwiach. „Cóż tam słyhać z tem zajęciem, które mi pan obiecywał”, zapytał. Zapewne wypłatał swej „wdowie” figiel brudniejszy jeszcze, niż zazwyczaj, spodziewał się okropnej awantury, zakończonej może przepędzeniem. Cloete ogromnie się z tego ucieszył. George tak kręcił, iż Cloete wreszcie uwierzył, że rzecz cała jest już postanowiona. Więc rzekł: „Tak. Na-

deszła już pora przedstawienia pana memu przyjacielowi. Niech pan wkłada kapelusz i pójdziemy”.

Weszli do biura; na ich widok George, siedzący przy biurku, zerwał się przerażony. Stał przed nim wysoki drab, przystojny a podejrzany, w jasnym krótkim płaszczu i wytartym kapeluszu na głowie; ciężkie powieki zakrywały nawpół przymknięte jego oczy. George pomyślał. „A więc to jest ten człowiek! Nie, to nie może się stać”. Cloete zapoznał ich ze sobą. Stafford obejrzał się, aby spojrzeć na krzesło, na którym miał usiąść. „Ten pan jest odpowiednim kandydatem”, rozpoczął Cloete. Stafford siedział bez ruchu na krzesle. George nie mógł głosu wydobyć — w gardle mu zaschło. Po chwili rzekł z wysiłkiem: „Hm! hm! Tak, niestety, bardzo żałuję, że zrobię panu zawód... zmieniły się projekty mego brata... sam pojedzie”.

Stafford wstał, ze spuszczonej oczami, jak skromna paniątka i wyszedł z biura spokojnie, nie powiedziawszy ani słowa. Cloete schwycił się ręką za brodę i zaczął obgryzać wszystkie paznokcie naraz. Serce George’a przestało bić; odezwał się do Cloete’a: „To niepodobieństwo. To nie może być. Gdy statek zatoni, Harry domyśli się całej prawdy i gotów sam pójść do biura asekuracyjnego, aby wyjawic swe podejrzenia. Serce mogłoby mu pęknąć z mojego powodu. Jakże mógłbym mu to zrobić? Jest nas tylko dwóch na tym świecie...”

Cloete, z okropnem przekleństwem na ustach, zerwał się z krzesła i wpadł do swego pokoju, gdzie George słyszał, jak z hałasem potraçał meble. Po chwili George podszedł do drzwi i rzekł drżącym głosem: „Żądasz ode mnie rzeczy niemożliwej”.

Cloete gotów był wyskoczyć, jak tygrys i rozszarpać go na sztuki, ale odemknął tylko nieco drzwi i rzekł łagodnie: „Kiedy jest mowa o sercu, muszę ci powiedzieć, że twoje nie jest większe od serca myszy”. Ale George’owi było już wszystko jedno, ciężar spadł mu z serca. W tej samej chwili wszedł kapitan Harry: „Jak się masz George? Spóźniłem się trochę dzisiaj. Cobyś powiedział, gdybyśmy poszli na kotlety do Cheshire baru?” „Doskonale, mój stary”. I wyszli razem na śniadanie. Tego dnia Cloete nic nie jadł.

George na pewien czas odżył, lecz nagle Stafford począł krążyć w pobliżu domu handlowego. Gdy George zobaczył go po raz pierwszy, zdawało mu się, że się pomylił. Lecz był to on; gdy następnym razem wychodził z biura, zobaczył go znów, czającego się po drugiej stronie ulicy. Zdenerwowało to George’a, ale musiał wyjść dla załatwienia różnych spraw; gdy Stafford przeszedł ukośnie ulicę, wyminał go. Wyminał go raz, drugi i trzeci; wreszcie zastał go przylepionego wprost do swych drzwi. „Czego pan chce?”, zapytał, usiłując zrobić wrażenie rozwścieczonego.

Widocznie musiało dojść do okropnych scen w pensjonacie; wdowa, wściekła o niego zazdrosna, rozżłościła się do tego stopnia, że wspomniała o sprawadzeniu policji. Tego Stafford nie mógł znieść; zemknął więc, jak wystraszony jelen i znalazł się poprostu na bruku. Cloete miał minę tak wściekłą, gdy wchodził i wychodził, że nie śmiał go zaczepić. George wydawał mu się bardziej przystępny. Stafford zadowolniłby się wówczas czemkolwiek, zaspokoiliby go nawet pół szylinga. „Zdarzyły mi się nieszczęścia”, rzekł cichym, skromnym głosem, który George’a przeraził bardziej, niż najgorsza awantura: „Niech pan weźmie pod uwagę, jakiego doznałem zawodu”.

(D. c. n.).